Nr. 26. We Lwowie dnia 1. lipca 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z DZIEJÓW PRASTAREJ WSZECHNICY.

IV. Secesja studentów krakowskich.

Późnym wieczorem dnia 14 maja 1549 pijana służba Andrzeja Czarnkowskiego, ówczesnego proboszcza kościoła Wszystkich Świętych wywołała burdę ze studentami, w której Jerzy, syn Jana z Pienian Wileńczyk zabity, siedmiu zaś innych żaków pokaleczonych zostało. Powstał stąd niezwykły rozruch między młodzieżą szkolną, który się aż o tron oparł, lecz niebawem przygasać się zdawał, gdy 22 maja przed biskupem Maciejowskim w obecności rektora uniwersytetu Mikołaja ze Szadka, jakoteż przedstawicieli młodzieży, dostatecznie niewinność swoję Czarnkowski wykazał, a zarazem zobowiązał się winną zabójstwa i gwałtu publicznego służbę swoją sądom oddać do ukarania. Tymczasem zamiast tak uczynić, proboszcz z araz w niedzielę 26 maja tą samą otoczony słu żbą, zbrojno i konno od biskupa z Prądnika wra cając, na ścigających się wzajemnie na rynku żajków najechał: nowej, nie mniej krwawej bójk stał się powodem. Studenci na widok zabójców kolegi swego w jednej chwili wzajemnej zaniechali gonitwy, czy igraszki i dalejże gromadnie wśród narzekania i okrzyków, kamieniami i błotem i czem który miał pod ręką, żwawo na jadących natarli. Służba chwyciła wprawdzie za lance i dobyła pałaszy, ale wrzaskiem zastraszone, gradem kamieni i pociskami błota gęsto rażone i rozhukane konie w okamgnieniu na wszystkie rozleciały się strony, a sam Czarnkowski zaledwo cały do swego dostał się mieszkania.

W zamieszanie to jednak wdały się czemprędzej władze miejskie, rynek krakowski niezwłocznie oczyściły i przy sposobności jednego ze studentów, 14-letniego chłopca rodem z Warszawy pojmały. Z pogwałceniem przepisów obowiązujących, a z polecenia biskupa nietylko go w więzieniu przetrzymały, ale go w dodatku jeszcze katowi miejskiemu Mateuszowi oddały. Czternastoletni Warszawiak przetrzymany w więzieniu uległ tam straszliwej torturze.

Było to już jawne pogwałcenie przywilejów uniwersyteckich. Jakoż „studenci i żacy ze wszystkich szkół w Krakowie, na Kleparzu i na Kazimierzu tak wewnątrz, jak i zewnątrz murów miejskich, jakoteż zamku krakowskiego“, burząc się przez dni kilka i nie mogąc ani sprawiedliwości, ani zadośćuczynienia znaleść, 4 czerwca gromadnie wśród ogólnego płaczu i narzekania, „nawet ze strony uczciwych mieszczan“, przez bramę Florjańską z Krakowa wyszli, a zebrawszy się za murami miasta w kościele św. Florjana na Kleparzu i wysłuchawszy tam mszy o Duchu św., a potem „Idźcie na cały świat“ zaintonowawszy (Ite in orbem canentes) wszyscy płacząc i złorzecząc w dalekie puścili się strony. Skutek secesji studentów z miasta, jak podają źródła późniejsze był ten, że „wszystkie szkoły w Krakowie się opróżniły, księża zaś sami przez całe lato w żałobie i smutku msze św. odprawiać i z procesjami chodzić musieli“.

Współczesne jednakowoż źródło, wydane przez dra Wisłockiego „ Liber diligentiarum“, całe to zajście w mniej jaskrawem przedstawia świetle, tak że zdaje się z tego wynikać, iż studenci wyszli jedną bramą, a potem znaczna ich część innemi bramami wróciła do zwykłych swych zajęć.

SYMBOLISTA Z PRZED PIĘĆDZIESIĘCIU LATY

PRZEZ

WALERJĘ MARRENÉ-MORZKOWSKĄ.

III. Musiało mu być coraz smutniej, bo, niestety, jakże daleką od niego była lutnia czarnoleska. Nie zdołał nigdy dostroić jej do swojej duszy, więc uleczyć go nie mogła. Zrażony do samego siebie, a tem samem do świata i ludzi, pogrążał się w samotności, w rozmyślaniu.

Wzrastało w nim to, co nazywano powszechnie dziwactwem, a co było tylko logicznem następstwem wierzeń. Z dniem każdym stawał się mniej zrozumiały, zamykał się w sobie, wyrabiając ducha według formuły mesjanistów i towianistów, a wierzenia swoje objawiał tylko od czasu do czasu utworem oryginalnym, treściwym, zawiłym w pomyśle, a coraz więcej zaniedbanym w formie.

Nienawidził wszystkiego, co tchnęło manierą, co nie było pisane z duchowej potrzeby, co trąciło rzemiosłem literackiem, usiłował więc wyrażać się inaczej, bez względu na ozdobność, nie zważając na to, że wpadał w ostateczność przeciwną, która była także rodzajem maniery.

Pisał rozprawy artystyczne i krytyczne, bardzo ciekawe ze względu na poglądy, jakie zawierały, wypowiadał się w nich, o ile mu to było możliwe, pisywał fantastyczne urywki, poematy, powieści wierszem, fragmenty dramatyczne, liryki, których część tylko została wydana.

Wczytując się w utwory Norwida, zwłaszcza późniejsze, widzi się wpływy idei, będących wówczas w obiegu, i przejęcie się wielką Trójcą naszych poetów. Naśladowcą jednak nazwać go nie można, bo zachował zawsze pewną odrębność formy i myśli. Wyodrębnił się też zupełnie od młodych warszawskich towarzyszów pióra, a zbliżył do stokroć od nich większych. Duchem z niemi złączony, nie posiadł przecież ani cząstki ich geniuszu. Trzeba dopiero uwolnić myśl jego z form dziwacznych, w jakie ją przyoblekał, by można ocenić jej wartość istotną.

Najbliższe pokrewieństwo duchowe łączyło Norwida ze Słowackim, z którym brat jego Ludwik, także myśliciel i poeta, nie mający daru słowa, był w ścisłej przyjaźni. Z trzech gwiazd przyświecających poezji naszej, ta mu była najwięcej pokrewną i pociągała najsilniej. W niektórych utworach Norwida, odnajdujemy obrazy i myśli, przypominające żywo autora Króla-Ducha. W „Błogosławieństwach“ innemi słowami i naturalnie bez potęgi i śpiewności wiersza Słowackiego znajdujemy ustęp, podobny do piątej pieśni Beniowskiego: „Boże, kto cię nie uczuł w błękitnym stepie Ukrainy, gdzie tak smutno duszy“. A nawet można powiedzieć, że „Błogosławieństwa“ są szerzej pojęte. Norwid dostrzega Boga nietylko „w ognistych piórach dumnych szyszaków“, ale w całej naturze, w każdem jej zjawisku, w ciszy i w burzy, na obszarach morza, lub pustyni, zarówno jak i na stepie, tylko lutnia czarnoleska zawsze go zawodzi i pozostaje naga myśl, pozbawiona czarodziejskiej szaty poezji.

Nie lepiej wiodło mu się z poetyczną prozą. „Garstka piasku“ przypomina jeśli nie treścią to formą „Anhellego“. Ma te samy krótkie ustępy, niby strofy — i język biblijny pełen wyszukanej prostoty. Nadewszystko zaś z obydwóch utworów wieje smutek jednaki, bo leżał on na dnie tych dusz pokrewnych i stanowił zapewne jeden z łączących je węzłów.

„Krakus nieznany książę“ nazwany przez autora tragedją, a w rzeczywistości najciemniejszy z fragmentów, świadczy znów o wpływie wywartym na Norwida przez Balladynę i Lillę Wenedę, Niestety, niemoc poety widoczniejszą jest jeszcze tutaj niż w innych utworach. Kiedy Słowacki tworzył swoje nieśmiertelne poemata na kształt żywych posągów wyłaniających się z mgieł przeszłości, kreacje Norwida rozpływają się w mistycznej historjozofji, a całość nuży zagadkowością.

Najudatniejszem z dzieł jego i najbardziej zrozumiałym jest poemat „Szczęsna“ osnuty podobno na tle własnych wspomnień sercowych, opiewa on miłość młodzieńczą do kobiety słynnej z urody, majątku i wyjątkowego położenia. Poemat poświęcił autor „nieszczęśliwym w dowód najgłębszego uznania“ a sama ta dedykacja rzuca smętne światło na jego duszę. Zresztą „Szczęsna“ jest tylko parafrazą słów: „Stokroć biedny kto kochał szczęśliwą“, streszcza całą niezmienną sytuację i cierpienia bohatera, wypływające nietyle z różnicy położenia ile z różnic psychicznych, jakie się wskutek niego zrodziły.

Poemat pisany jest sekstynami, do których nagina się z trudnością chropawy wiersz autora: sili się on na dowcip, ale dowcip nie przychodzi mu naturalnie, wymuszony, brzmi zawsze fałszywą nutą. Jednak mimo to znajdują się w „Szczęsnej“ ustępy, które nie przyniosłyby ujmy żadnemu z mistrzów słowa. Rozsiane jak perły na twardej opoce świadczą, że w Norwidzie był poeta, że miał niejakie prawo rwać się do czarnoleskiej lutni, chociaż tak rzadko zadźwięczała mu wdzięcznie.

Bardzo oryginalnym utworem jest „Auto-da-fe“. Autor nazwał go dramatem, a w spisie osób działających pomieszczone są dwa kominki. Bo też rzeczywiście odgrywają one ważną rolę.

Na tych kominkach Protazy literat i jego rywal w autorskim zawodzie palą wzajem, nie czytając ich nawet, dzieła, które jeden drugiemu ofiarowuje. Jestto przykład wzajemnego lekceważenia, pomiatania cudzą pracą i osobą.

Rzecz cała mieści się na kilku kartach a zawartą jest w dwóch słowach autora; „Niema czytelnika“. Ludzie czytają tylko to, co idzie w takt ich własnych pojęć i przekonań, dzieła tych, co należą do ich stronnictwa. Nikt nie zadaje sobie pracy zajrzeć do duszy ani do książki bliźniego, nikt nie uszanuje cudzych myśli.

Występuje tu krytyka stosunków literackich, zawiści stronniczych, niesumienności, złej woli, których zapewne autor sam doświadczył, krytyka pełna bezosobistej goryczy, jaką wywołuje nie zło przecierpiane osobiście, ale zło powszechne.

Utworów Norwida zapewne nie rzucano w ogień, przechodziły i przejść musiały bez oddźwięku, budziły zdziwienie, może śmiech z powodu swej niejasności. A im niejasność była większą, tem utwór był wyżej przez autora ceniony, jak „Q u i d a m“ najdłuższy jego i najzawilszy poemat, chociaż nazwał go przypowieścią.

Widocznie napisał tę rzecz pod wrażeniem „Irydjona“, a jakby na stwierdzenie swej genezy „Q u i d a m“ wyszedł poprzedzony fragmentem listu Norwida do jego autora. List ten świadczy, że „Q u i d a m“ przesłany był Krasińskiemu i że wywarł na nim wrażenie. Inaczej być nie mogło. Ogół mógł lekceważyć Norwida, ale głębiej myślący musieli zastanowić się nad każdem jego dziełem, zwłaszcza też nad tem, pełnem erudycji i właściwego autorowi symbolizmu.

Zdaje się iż on sam przywiązywał tak wielkie znaczenie do tego utworu, bo zebrał w nim i wypowiedział wszystkie swoje wierzenia. Pod niektórymi względami wierzenia te zostały niezmienione. W tem n. p. co mówi o ludzie i jego intuicji odzywają się pojęcia całej grupy warszawskiej:

..Lud jest zawsze może
Na równi z wiedzą, chociaż jej nie sprosta
Wypowiedzeniem, ni pojąć ją może
Lecz drgnieniem serca jednem wie, co ludzie
W umiejętności otrzymują trudzie

Jest to jednak tylko luźno rzucone zdanie, zresztą „Quidam“ stanowi całość tak zawiłą, że chcąc zrozumieć znaczenie pojedyńczych postaci lub nawet główną myśl jego, trzebaby komentarzy autora, albo też owych d r g n i e ń s e r c a, o których on mówi, nie dla każdego dostępnych.

W dziełach pisanych prozą, symbolizm gra większą jeszcze rolę, niż w poezji. Pełno w nich słów podkreślonych, jako mających szczególne znaczenie. Uderza też ważna rola przypisywana gestowi, tak jak w niektórych sektach buddyjskich. Według tych sekt za pomocą czterystu gestów, człowiek może zapanować nad duchami, które muszą wykonywać jego rozkazy. Każdy z tych gestów ma swoje właściwe znaczenie a przy nabożeństwach wykonywują je kapłani pod strojem obrzędowym ażeby nie były dostrzeżone przez obecnych. Wobec tego w „R o z m o w a c h u m a r ł y c h“ uderzają słowa, jakie kładzie w usta Byrona, jakby zapożyczone z wierzeń mistycznych Indyj.

...Jestem
Poeta grecki, jakich więcej już nie będzie
Bo nic nie napisałem — tylko wszystko g e s t e m,
Życiem, duchem...

Jest tu podobieństwo do słów Krasińskiego: „Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje.“ Ale to tylko podobieństwo pozorne. Ten wyraz g e s t, wyraz nie polski nawet, i zwykle nie używany, nadaje słowom Byrona odrębne znaczenie.

Byron nazywa siebie poetą greckim, bo działał w Grecji, Anglji zaś dał tylko poezję słowa, stokroć mniej wartą. Byron był ulubioną osobistością Norwida, który napisał o nim ciekawą broszurę. Dowodził w niej, że poeci w ogólności są najpraktyczniejszymi ludźmi na świecie i to nie w przenośnem, ale w powszedniem słowa znaczeniu, w szczególności praktycznym był Byron.

Rozumowania, któremi się posługuje, by poprzeć swą ryzykowną tezę, są bardzo dowcipne. Pisząc tę broszurę, pragnął widocznie przekonać czytelnika, trafić mu do przekonania i dla tego wystrzegał się ile możności niezrozumiałych zwrotów i wyrazów. Przemawiał do ogółu a nie do wybranych.

Artysta odezwał się u niego w broszurze: „O s z t u c e d l a P o l a k ó w“ oraz w „S i e d m i u e s t e t y c z n y c h z a r y s a c h“ drukowanych w dodatku do *Czasu*. Pierwsza napisaną była z powodu znanego twierdzenia Klaczki, że sztuka w Polsce istnieć nie może. Norwid stara się je odeprzeć. Rozważa znaczenie sztuki wobec teraźniejszości, ścisłej wiedzy, praw natury, religji i t. d. czyli w stosunku do wszystkich warunków życiowych. Jest to jeden z objawów bytu. Dawniej jednak, objaw ten był u nas zgłuszony życiem czynnem, rycerskiem, i nie mógł się rozwinąć. To jednak, że dotąd nie było sztuki nie znaczy wcale żeby jej być nie mogło, teraz ona rozwija się i rozwija coraz bujniej.

Norwid pisał to jeszcze w r. 1858. Czas późniejszy zaświadczył dowodnie, że miał słuszność i umiał przewidzieć to, co nastąpić miało. Rozprawa ta poprzedzoną jest kilku wierszami dedykacji. Streszczają one myśl autora, ale w sposób tak dziwaczny, iż je przytaczam dla scharakteryzowania jego ówczesnego stylu.

Tym, którzy z wielką historji zniewagą,
U słupa, prawdę rozebrawszy nagą
Już, już świstali.
Jako dziewicy obuwie, wężowi
Spadnie na czoło i powie:
»Dotąd...« nie dalej.

Strofa druga jeszcze jest bardziej żałosną:

Tym zaś, co serca jeszcze mają szczątek
Nie powstydzili się wielkich pamiątek
Myślą czcić wielką.
Palmy się chylą do wołań anioła
I pognębione okrążywszy czoła
Łzę otrą wszelką.

Estetyczne zarysy poświęcone pamięci Wita Stwosza, pojęte są w tym samym duchu co rozprawa „O sztuce", tylko zamiast polemizować, autor wypowiada teorję sztuki w sposób dużo mniej zrozumiały. Zaraz na wstępie czyni uwagę, że te zarysy, jak niektóre ustępy ksiąg Wedy powinny być koniecznie czytane w lesie — czyli w zupełnej samotności, ale dodaje objaśnienie, iż nieraz na ludnych ulicach jest puszcza. Widać z tego, jak musiał być duchowo odosobniony.

W pierwszym zarysie „Piękno" rozwija myśl, iż dla oka artysty istnieje ono wszędzie, tylko trzeba umieć patrzeć. Na to zgodzimy się łatwo. Można nawet zauważyć, że artysta-mistyk wypowiada w ten sposób późniejsze hasło realistów.

Dalej następują legendy o świętych malarzach, począwszy od Św. Łukasza.

Krytykę określa dwuwierszem;

Chcesz znać o ile ważną jest twa praca
Zważ jak z niej prędko myśl do Boga wraca.

W owej epoce taki pogląd na sztukę był u nas powszechny. Zajmowaliśmy się nią ideowo, nie badając rzeczywistych jej dziejów, więc bez względu na problematyczną wartość moralną wielu artystów głoszono, że wielkie dzieła mogą jedynie powstać przy modlitwie. Nie mówiąc o innych, Kraszewski rozwijał tę myśl w swoim „Sfinksie".

U Norwida jednak modlitewne pojęcie sztuki łączyło się w jeden całokształt z mistycznemi ideami.

Te idee najkonkretniej wypowiedział w fragmencie „Cywilizacja".

Pielgrzym zmordowany drogą życia, siada na olbrzymi parowiec zwany Cywilizacją wraz z mnóstwem innych wesołych, swobodnych podróżnych, szczęśliwych, że tak wygodny, tak bezpieczny statek przyjął ich na swój pokład. Zrazu wszystko idzie pomyślnie; podróżni przechadzają się spokojnie po pomoście, a przed siebie patrzą bez trwogi, mają zupełne zaufanie w kapitanie, który za pomocą rachunku prowadzi okręt drogą naprzód obmyśloną.

Aż niespodzianie zaczynają dąć mroźne wichry, a zewsząd ukazują się i piętrzą się bryły lodowe. Rachunek omylił kapitana; zamiast do bezpiecznego portu poprowadził okręt na zgubę pomiędzy biegunowe lody, które go roztrzaskały.

Pielgrzym w chwili rozbicia okrętu stracił przytomność. Kiedy znów oczy otworzył, uczuł, że głowa jego spoczywa na miękkiem ramieniu siostry miłosierdzia. Po jej szarej sukni spływał wosk żółtym strumieniem. Pielgrzym chciał go dotknąć bezmyślnym ruchem, ale siostra wyrzekła:

— Wosk ten zostaw, albowiem jest z gromnicy, którą na pogrzebie twoim trzymałam w ręku.

Są to końcowe słowa fragmentu.

Widocznie ten cywilizowany świat nazwany przez poetów zmaterjalizowanym, zginąć musi, ażeby się odrodzić w miłości i wierze, powrócić do owych drgnień serca, które są stokroć nieomylniejsze od wiedzy.

Najwięcej jednak światła na pojęcia Norwida rzuca symboliczny urywek „Czarne kwiaty" drukowany w dodatku do *Czasu*. „Czarne kwiaty" są to smętne wspomnienia o umierających przyjaciołach i ludziach znakomitych, z którymi łączyły go serdeczne węzły.

Tytuł i myśl utworu, nasunęły mu przedśmiertne majaczenia Stefana Witwickiego, gdy po raz ostatni Witwicki wszędzie w koło dostrzegał kwiaty, chociaż ich nigdzie nie było i prosił wszystkich obecnych by mu powiedzieli ich nazwę, bo on jej sobie przypomnieć nie może. Słowa te i obraz konającego pozostałe niezatarte w pamięci Norwida, nazwał on czarnemi owe tajemnicze kwiaty, przesuwające się przed oczyma, które miały zamknąć się na wieki, bo były to kwiaty śmierci.

Przypominały mu się one potem, ile razy żegnał osobę, której już więcej nie miał zobaczyć na ziemi, i przypisywał wówczas najzwyklejszym słowom symboliczne znaczenie. Kiedy naprzyład był raz ostatni u Chopina już bardzo chorego, a ten powiedział mu wśród nieustannego kaszlu, że się wynosi, to chociaż szło o zwykłą zmianę mieszkania, zachował te słowa w pamięci, a gdy Chopin umarł, uważał je za przepowiednię rychłego zgonu.

Coś podobnego zaszło także przy ostatniej bytności Norwida u Słowackiego, który już także był chory i u Mickiewicza, chociaż ten był wówczas pełen sił i wybierał się na wschód, skąd nie miał już powrócić. Tak samo widział także zdrowego Delaroche'a, słynnego malarza, zaprzyjaźnionego z inteligencją polską w Paryżu, który pokazywał mu swój nowy obraz, mający tworzyć część tryptyku, nigdy niewykonanego z powodu śmierci artysty. Norwid upatrywał w ostatnich wyrzeczonych wyrazach, jakkolwiek brzmiały bardzo zwyczajnie symboliczne pożegnanie, które było niezrozumiałe dla tych nawet, którzy je wypowiadali.

WŁADYSŁAW JAROSZ.

URZĘDOWA OSOBA.

Nigdy niczem innem nie zajmował się stary Feśko, jeno urzędowaniem. Pali w piecu w szkole, nauczycielowi trzewiki czyści, jest grabarzem, stróżem nocnym, polowym, i lasu pilnuje, po którym ślad dawno już zaginął. I jeszcze pocztę z drugiej wsi przynosi dla księdza, a ksiądz mu na to ładną torbę sprawił — taką właśnie, jak ma w mieście listonosz.

Odkąd go we wsi pamiętają, zawsze ma bielmo na lewem oku, głowę łysą, jak kolano i garsteczkę siwych włosów nad karkiem.

Przez to oko widać wyuczył się chodzić bokiem. Dziwny chód ma. Każdy chodzi, stawiając jedną nogę przed drugą — on prawą naprzód wysuwa a lewą do niej dociąga. Robi krok krótszy o połowę, bo lewa noga nigdy nie wyprzedza prawej. Ten chód ma w sobie coś urywanego — we wsi mówią, że Feśko chodzi jak kolej, co fuknie i przerwie — fuknie i przerwie... Czasem idzie z torbą na pocztę, a dzieci z nawsiska kolej udają i krzyczą:

— Poczta jedzie! fu... fu...

Ale Feśko nie gniewa się na to, bo mało co słyszy. Ogłuchł ze starości. On sam myli się z rachowaniem wójtów, co ich w urzędowaniu przebył — nawet dzwonnik, za którego już piąty ksiądz nastał, nie ma pewnie tyle lat, co Feśko.

Jeszcze Bosego ma Feśko, psiuka małego, co wsi mu w nocy pilnować pomaga — i babę, co niby w chałupie gazduje. Ale jakie to tam gazdowanie... Tyle, że krowinę napasie i podoi, konopie czasem wybiera i proso plewi. Zwyczajnie, jak stara baba.

Za urzędowanie bierze Feśko ciężkie pieniądze, bo i gdzież — tyle urzędów... Dwanaście papierków przez rok mu płaci gromada za to, że jest policjantem, a dwanaście za pilnowanie wsi w nocy. Za stróżowanie szkoły korzec żyta bierze, za służbę polową dwa korce, a ksiądz mu płaci osobno za pocztę.

I nie naharuje się dziadzisko tak, jak inny chłop — ciężko. W nocy z psem sobie spaceruje i jeno czasem zatrąbi, a w dzień łazi po polach, albo z torbą na pocztę. W zimie to w polu nie ma co nawet pilnować, więc Feśko, jak wróci ze stróży, w pościel na piecu zapada i śpi jak zabity do nocy.

* * *

Feśko żyje z gromadą w zupełnej zgodzie. Choć mu niektórzy zawidzą pocichu chleba lekkiego, lubią Feśka we wsi. Lubią go głównie dlatego, że wszyscy kpią z niego, nie bojąc się jego gniewu.

Czasem to ten lub ów, żeby podroczyć się ze starym, krzyczy mu w ucho:

— Jak wy możecie co pilnować w polu, kie wy do znaku głuchy, ta ślepy na jedno oko...

A stary złości się, klnie trochę, a potem ściga szkodników po polu i nigdy nikogo nie złapie.

Najboleśniej zadrasnął jego urzędowy honor stary szewc z pod skały.

— O-u-wa!... co mi to za nocny stróż, co nigdy nie trąbi...

Feśko zsiniał ze złości, ale powściągnął gniew.

— Czekaj — rzucił pogróżkę — zatrąbię ja ci, że usłyszysz.

Tego samego wieczora, kiedy już wszystkie światła we wsi pogasły, siadł rozwścieklony stary na kupce kamieni, przy drodze, wprost pod szewca chałupą.

Ujął trąbę rogową i zagrał. Z szewcowego obejścia pies wybiegł i zaczął szczekać zajadle — Bosy mu odpowiedział. Trwał ten psi duet w zupełnej ciszy jesiennej nocy tak długo, dopóki psom się nie znudziło. Wtedy znów Feśko zatrąbił. Ochrypły długiem szczekaniem pies szewca odezwał się z obejścia, Bosy mu zawtórował głosem dorzynanego koguta. Od czasu do czasu stary podnosił swój róg ku ustom, i ryczał na nim, jak bawół żywcem ze skóry obdzierany — dodając trzeci głos do psiego koncertu. Trąbił coraz częściej, coraz zapalczywiej, zczerwieniał cały, oczy mu wyszły na wierzch z oprawy, ociekał cały potem — a w miarę tego rosło prawdziwe piekło w szewcowem obejściu.

Krowy zaczęły ryczeć z przerażenia, kury, zdumione hałasem tłuką się po bantach z głośnem gdakaniem, dzieciska płaczą, baba klnie...

Zrozpaczony szewc wychodzi, staje pod chałupą i pyta błagalnie:

— Człowieku — com ci złego zrobił w życiu, że mnie tak strasznie prześladujesz?...

— Aha! — a trąbię?

— Oj!... trąbisz, trąbisz...

— To-o... słyszycie, że trąbię? — pyta zziajany i spocony Feśko, prędkim, urywanym jak i chód jego — głosem.

— Słyszę, słyszę — jęczy złamany do znaku szewc.

Taki jest stary zawzięty, gdy chodzi o jego honor.

Czasem zdarzy mu się, że kiedy rano wraca ze stróży, znajomy go jaki poprosi do karczmy na kieliszek.

— Trudno odmówić, kie cię honorują... — powiada Feśko — a że słabą dziadzisko ma głowę więc, zamroczywszy się, wraca do chałupy, włazi na piec i śpi, zamiast do szkoły wstąpić i urząd wykonać.

Budzi się koło południa i bardzo zmartwiony leci do szkoły.

Nauczyciela po rękach całuje, za kolana ściska i z wielkim krzykiem wyrzuca z ust prędkie, tłoczące i ścigające się słowa.

— Szanuję honory pańskie... Feśko się wstyda... barz się wstyda... Wolałbym, żeby mnie kto w pysk prasnął... bo ja swój urząd znam... o —znam...

Głowę na lewą stronę schyliwszy, wciska ją w ramiona, brwi w górę podnosi, powieki szeroko otwiera.

— O — znam...

Za kolana chwyta nauczyciela i w kółko powtarza.

— Szanuję honory pańskie...

A kiedy nauczyciel mówi mu o wstrzemięźliwości, dziad oko zdrowe na niego wytrzeszcza aby bodaj zobaczyć to, czego przez głuchotę dobrze usłyszeć nie może.

* * *

Jednego mu tylko gromada darować nie chce: tego, że strasznie ma słabą głowę.

Bywało — połażnikuje na godnie święta.

Od chałupy do chałupy lezie i winszuje „zdrowia, szczęścia, pomyślności na ten nowy rok", a w każdej chałupie honorują go kieliszkiem, a czasem i dwoma. Sto dwadzieścia numerów we wsi — sto dwadzieścia kieliszków najmniej czeka urzędową osobę w tym dniu.

Ale Feśko nie wypije ni dziesiątej części. Kiedy cztery albo pięć chałup obejdzie, już sobie z lewą nogą rady dać nie może. Ledwie że ją ciągnie za sobą.

A wtedy zaczyna śpiewać.

— Maryś moja, Maryś!
Nie humaraj na mnie
Choć ja się upiję
Nie zapłacisz za mnie...

Cienki, jak najwstydliwszej dziewki głos, rozlega się daleko po wsi. Nieprzyzwyczajony do sopranu swojego pana, Bosy, jakby się wbił ogonem w ziemię, siada na zadzie i wyje w niebiosa. Chłop wpada w zachwyt, ale równocześnie lewa noga coraz ciężej wlecze się za prawą — wreszcie staje. Ani ćwierć kroku więcej nie zrobi. Rozkraczony Feśko ogląda się za nogą, co daleko za nim tkwi w śniegu, prosi, tłumaczy — po ludzku do niej zagaduje — wszystko na nic.

Straszna złość go bierze. Podnosi urzędowy kij, wymierza okropny, obliczony na potrzaskanie w drobne kawałki upartego marudera — zamach i leży brzuchem na śniegu, robiąc ruchy człowieka, mającego za chwilę utonąć.

BRZOZA.

Jak owa brzoza samotna,
Co stoi na smutnem pustkowiu,
Gdzie cisza zawsze panuje
I żaden ptak nie zalata:
Taką jest moja dusza,
Na wielkiem pustkowiu świata.

*

W górskie ustronie to czasem
Z doliny młody wiatr wpada,
Coś brzozie opowiada
I dziwnie z nią wciąż gwarzy...
Na brzozie zasłuchanej
Drżą liście, brzoza marzy...

*

W noc cichą księżycową,
Wpatrzona w gwiazd przestwory,
Lśniąc od swej srebrnej kory,
Jak widmo stoi blada... —
W księżyca bladym blasku,
Brzoza się zakochała.

K. Ob.

Dwie prace prof. Gumplowicza.

II. Druga rozprawka, której tytuł również wymieniliśmy w nagłówku niniejszego sprawozdania, należy do prac pierwszego rodzaju, a mianowicie takich, w których autor chce głębiej i szerzej uzasadnić swoje twierdzenia na zasadach umiejętnych.

Powodem powstania tej rozprawki: „Socjologiczne pojmowanie dziejów" — jest walka, toczona w Niemczech o „materjalistyczne pojmowanie dziejów". Nie godzi się autor ani z reformatorskim pomysłem Marksa (monizm ekonomiczny) ani Engelsa, który pojmował rzecz tę szerzej od swego poprzednika. Według prof. Gumplowicza zapatrywać się na przebieg dziejów potrzeba ze stanowiska socjologicznego, albowiem głównym czynnikiem, wprawiającym w ruch zawsze i wszędzie proces dziejowy jest — jego zdaniem — antagonizm socjalny.

Mogą bowiem historycy sprzeczać się o przyczynach np. buntów chłopskich w Niemczech lub rewolucji francuskiej, ale rzeczą jest pewną, że jak w jednym i w drugim, tak i we wszystkich innych wypadkach dziejowych — jedna warstwa społeczna powstała przeciwko drugiej, że przeto „dzieje są walką jednych grup społecznych przeciwko drugim".

Ów antagonizm socjalny uważa prof. Gumplowicz za „prawdę niezachwianą", którą już ćwierć wieku uzasadnia w różnych książkach i rozprawach, której jednak zwolenników wśród uczonych jest bardzo szczupła liczba (np. Gustaw Ratzenhofer —socjolog; Fryderyk Ratzel — etnolog).

Co się zaś tyczy przyczyny, siły, która pcha te różnorodne żywioły do walki społecznej, a która to kwestja jest dla prof. Gumplowicza drugorzędną — to upatruje ją autor w „żądzy zaznaczenia istoty swej w świecie zewnętrznym, wybicia się w miarę sił swoich fizycznych i umysłowych, w miarę zdolności swoich". Takie pojęcie tej siły, która stale dąży do uwydatnienia się nazewnątrz, do wyrażenia istoty swej całej w życiu — nazywa autor „dążnością zaistotnienia się t. j. przeprowadzenia istoty swej w czyn".

W ten sposób właśnie pojęta metoda badań dziejowych zdaniem prof. Gumplowicza jest „kluczem odmykającym na wszystkie strony pozamy-

kane furtki zjawisk politycznych i zagadek dziejowych"; nie jest ona „ani materjalistyczną, ani idealistyczną, ale poprostu socjologiczną".

Oczywiście jasnem jest, że pojmowanie dziejów materjalistyczne, uznające za główny lub wyłączny nawet czynnik, wprawiający w ruch dzieje ludzkie, potrzeby ekonomiczne —jak również i idealistyczne z przesadzonym wpływem osobników i tendencyjnością w celach panegirycznych, lub innych — są poglądami jednostronnemi; ale czy nie jest też i pojmowanie dziejów „socjologiczne", które — jak słusznie twierdzi prof. Gumplowicz – jest wyższym i ma większy widnokręg, niż pojmowanie „materjalistyczne", choćby najbardziej rozwinięte" — czy nie jest również jednostronnem?

Zdaje nam się, że jest, — a to głównie z tego powodu, że zapatrywanie się na dzieje z punktu widzenia socjologicznego t. j. wychodzące z zasady, że „niema dziejów bez antagonizmu różnorodnych żywiołów etnicznych i społecznych" — jest również poglądem apriorystycznym, przedsięwziętym z góry, a nie poglądem a posteriori, jako rezultatem głębokich, bezstronnych badań nad dziejami ludzkości. Że właśnie pogląd prof. Gumplowicza nie jest poglądem a posteriori, dowodzą jego słowa: „Twierdzenie, że przedmiot wyłączny socjologji stanowić ma wzajemne oddziaływanie grup społecznych, powinno być poparte wykazaniem, że oddziaływania takie w rzeczywistości istnieją, że odgrywają ważną rolę w rozwoju ludzkości i że dotąd w istocie swej nie zostały należycie ani poznane, ani ocenione. Wykazanie takie z natury rzeczy jest bardzo trudnem, bo znaczy tyle, co przegląd dziejów ludzkości z punktu widzenia socjologicznego... Chcąc uniknąć tego zbyt trudnego i ogromu pracy wymagającego wywodu, można sobie zadanie ułatwić, powołując się na powagi..." (Ibn Chaldun, str. 2.)

A więc zaopatrywanie się na dzieje z punktu widzenia socjologicznego, mającego, zdaniem naszem, wiele stron dodatnich — jest jednak „z góry powziętym zamiarem", poglądem a priori i będzie nim dopóty, dopóki głębsze i szersze a bezstronne studja historyczne nie wykażą, że pogląd ten rzeczywiście nie stoi w sprzeczności z faktami dziejowemi i że w danej chwili dla dziejopisa jest on *conditio sine qua non*, ewentualnie, kiedy pogląd ten zostanie przyjętym przez ogół historyków.

Z drugiej zaś strony ujemną cechą tego poglądu jest ta okoliczność, że prof. Gumplowicz, przyczyny, siły, pchające różnorodne żywioły do walki usuwa na plan drugi. Naszem zdaniem klucz do wykrycia tajemnic dziejowych leży właśnie w tych przyczynach i te ostatnie przedewszystkiem poznać należy, aby móc jasno przedstawiać sobie genezę i rozwój wypadków historycznych. Walka bowiem grup społecznych jest dalszym ciągiem, kontynuacją tych zagadkowych „przyczyn" i jeżeli uznamy, że „przyczyny" te są natury ekonomicznej, ku czemu zdaje się skłaniać prof. Gumplowicz, usposobień bowiem umysłowych, temperamentów, w stosunkach społecznych nie uznaje, to wówczas pomimo zajętego stanowiska socjologicznego — jako walki grup społecznych — obracać się będziemy musieli w kole „materjalistycznego pojmowania dziejów".

Przecenia więc prof. Gumplowicz wartość poglądu socjologicznego, wypływającego z zajmowanego przezeń stanowiska skrajnego naturalizmu, według którego socjologja jestto, „wykład praw naturalnych, rządzących stosunkami wzajemnemi grup społecznych".

Zapomina prof. Gumplowicz, że socjologja jako taka, to jedna z najmłodszych nauk, w której — jak w żadnej może — panuje niezliczona ilość zapatrywań i że co więcej, w kwestji nawet określenia samego przedmiotu socjologji, istnieje wielka różnica zdań między uczonymi; że dalej socjologia jako „nauka", badająca zjawiska społeczne, które — według nadzwyczaj trafnego zdaniem naszym określenia F. H. Giddings'a — są wynikiem współdziałania świadomości indywidualnych, opierać się winna na psychologji, będącej dotąd li tylko systemem postrzeżeń i pewnych konkretnych pojęć, nie zaś nauką objektywną, doświadczalną, w całem tego słowa znaczeniu.

Dopóki więc psychologja nie stanie się tą nauką objektywną przez oparcie się na jakiemś jednolitem prawie (prof. Grot np. proponuje w tym celu przyjęcie „energji psychicznej") *eo ipso* i socjologja będzie tylko mniej lub więcej dowolnym, jednostronnym systemem i jako taka nigdy nie będzie mogła rościć sobie prawa do miana „nauki".

Twierdzenie więc prof. Gumplowicza, że zapatrując się z proponowanego przez niego stanowiska socjologicznego na dzieje „jedynie można dojść do naukowego ich wyjaśnienia," uważać potrzeba za nieuzasadnione naukowo, a więc za przedwczesne. *Henryk Ułaszyn.*

Z pism i książek.

M. Bardzka. „Utopista" Powieść współczesna. Warszawa, S. Sadowski. 1900.

Zarówno w potocznej mowie, jak i w języku literackim, przyzwyczailiśmy się do pojmowania powieści »współczesnej«, jako powieści, której nietylko tematu dostarczyło życie współczesne, ale której też i co do formy, sposobu ujęcia i traktowania przedmiotu współczesne życie, współczesne wymagania literackie i ogólny kierunek współczesnego ducha nadały pewną cechę. Do pewnego więc stopnia oznacza dziś powieść współczesna utwór, utkany na kanwie psychologicznej analizy, odznaczający się zaletami w obrazowaniu, celujący charakterystyką sytuacji, interesujący swą akcją, wolny od tendencji, pojęty od początku aż do końca, jako artystyczna reprodukcja rzeczywistych wrażeń współczesnego życia.

Tych zalet powieści współczesnej nie znajdujemy w powieści p. Bardzkiej. Prowadzi to czytelnika zrazu do pewnego rozczarowania, bo, spodziewając się powieści współczesnej w tem znaczeniu, jak jest nią np. Rodzina Połanieckich Sienkiewicza, natrafił na same niedobory. Temat, jako temat powieściowy — nie nowy i nie wyzyskany z oryginalnej strony. Młody inżynier, spowodowany do wyrzeczenia się pobytu w mieście przyczynami osobistej natury, kupuje wieś i oddaje się pracy nad ludem. Praca ta jest bardzo obfitą w trudności wszelkiego rodzaju, bohater — apostoł idei pracy nad ludem i dla ludu — nie zraża się niczem i nie zachwianie dąży naprzód. Temat ten daje autorce sposobność kreślenia rodzajowych obrazków — postaci chłopów, dla których pracować postanowił bohater, i sąsiadów, których swym przykładem chce pociągnąć. Lecz niestety, nie spotykamy tu nowych typów, a sytuacje mianowicie przełomowe, tak znane (np. bohater-demokrata zapoznaje się z arystokratycznem sąsiedztwem naturalnie w ten sposób, że ratuje z narażeniem życia piękną i młodą hrabiankę), że mimowoli wywołują uśmiech i — przypomnienia jakichś dawno, dawno czytanych powieści z angielskiego.

Na punkcie tematu i sposobu ujęcia treści w sytuacje jesteśmy, my współcześni, trochę przeczuleni; wymagamy — i słusznie — od powieści współczesnej, aby miała sporą dozę finezji, aby umiała stare, zużyte tematy z nowej oświetlać strony i pod względem artyzmu języka, zwięzłości i celności porównań, aby była jednakowo zajmującą w tych miejscach, gdzie fabuła się rozwija powoli, jak i w tych, gdzie wartko bieży, jak górski strumień.

Tych artystyczno-literackich zalet książka p. Bardzkiej nie posiada. Długie, często rozwlekłe djalogi, które akcji naprzód nie posuwają, a noszą na sobie widoczną intencję autorki zapoznania czytelnika z rozumowaniem chłopskiem, obciążają niezmiernie powieść, jakkolwiek same w sobie przedstawiają dużo interesującego materjału.

Niektóre rozmowy chłopów są podchwycone umiejętnie; wadą ich — a raczej powieści — jest brak organicznego związku z całością.

Przytoczę dla przykładu jeden z takich charakterystycznych ustępów (napad zbójów na dwór dziedzica wioski).

»Małżonkowie już od dwóch godzin zażywali spokojnego wczasu, gdy zbudziło ich silne stukanie do okna.

Ktoś się dobijał, należało zobaczyć i chłop powstał leniwie. Nic dziwnego, z pod pierzyny żal mu było wyłazić.

— Czego tam? zapytał, przykładając twarz do szyby.

— Chodźcie ratować dziedzica, bo go napadają.

Chłop zdumiony oniemiał, a głos tymczasem mówił dalej:

— Zbierajcie się co żywo. Trzeba rozbudzić innych, to złodziei złapiemy.

— A no jużci! — odpowiedział, nie ruszając się z miejsca.

— Olaboga! — zajęczała w tej chwili kobieta. Siedziałbyś głupi pod pierzyną. Jeszcze cię tam ubiją.

— Co mają ubić, — mruknął, niezdecydowany.

— A jak nie ubiją, to bez złość chałupę ci spalą, — lamentowała baba.

— To psia robota! — zaklął, drapiąc się w tył głowy.

— Bo ci gadam, daj se spokój, toćże tam są insi. A niechajby nie było. Albo to się dziedzic nie odkupi?

— Głupiaś! — krzyknął teraz chłop, porywając za kożuch. Jak mu wezmą pieniądze, toć nam na wiosnę nie pożyczy tego, co obiecał.

Chwycił siekierę, leżącą za przypieckiem i wybiegł z nią na drogę«.

Takich jędrnych scen spotykamy w książce p. Bardzkiej dużo, ale też to jest jedyna artystyczna zaleta »Utopisty«.

Nie znaczy to, aby książka była bez innych zalet. Ma ona tendencję, — zdrową społeczną tendencję, a to znaczy bardzo wiele. Powieści, odpowiadających wydelikaconemu na wzorach mistrzów smakowi artystycznemu wybrednej publiczności, mamy dosyć: ale mało mamy książek o zdrowej tendencji społecznej książek przystępnych i dla tych warstw, które — w braku pożywniejszej lektury — karmią się kolportowanymi romansami. Tymczasem — jak słusznie już zauważono — nieraz — właśnie takich książek potrzeba nam bardziej, niż tych, co sięgają po palmę artystycznej doskonałości.

Z tego, że tak się wyrażę, społecznego punktu widzenia, książka p. Bardzkiej przedstawia się bardzo sympatycznie i zasługuje na szczere poparcie, jako książka tendencyjna, w najlepszem tego słowa znaczeniu. Choć i pod tym względem nie bez pewnych zastrzeżeń. Jedno z nich dotyczy osoby bohatera, drugie sposobu przedstawienia ludu.

Co do bohatera — o ile go chcemy traktować jako przedstawiciela idei pracy nad ludem — to autorka nie zdołała go utrzymać przez cały czas na tym wysokim etycznym piedestale, jaki by mu się z prawa, jako bohaterowi tendencyjnej powieści, należał.

A teraz co do sposobu przedstawienia chłopów. Wpatrzywszy się bacznie w postacie chłopskie, jakie nam przesuwa autorka przed oczyma, odnajdujemy pomiędzy niemi bliskie pokrewieństwo; spokrewnione są one ze sobą przez pessymistyczne zapatrywanie autorki na wyniki społecznej pracy bohatera. W powyżej przytoczonej scenie też widzieliśmy, że chłop spieszy na ratunek swego dobroczyńcy nie ze szlachetnych, idealnych pobudek, ale z prostego wyrachowania. Takich rysów jest pełno w skreślonej w »Utopiście« fizjonomji duchowej naszego chłopa. Nie można autorce robić zarzutu z tego powodu, że te ujemne rysy uwydatniła, ale zapewne należało obok nich i piękne, dodatnie rysy uwidocznić. Choćby wprost dla harmonji artystycznej, dla kolorytu i prawdy życiowej...

Ale autorka nazwała swego bohatera utopistą. Czy może pomiędzy tą nazwą a przedstawieniem natury chłopskiej w czarnych barwach jest jakie wewnętrzne skojarzenie poglądów autorki na ogólnym pessymistycznym podkładzie? W takim razie autorka sama siebie zbija, gdyż jej »Utopista« — wcale utopistą i marzycielem niepraktycznym nie jest: owszem, widzimy że wśród ludu zdziałał on bardzo dużo i miałby słuszną rację obrazić się na każdego, ktoby plonów tej jego pracy nie uznał i nazwał go »Utopistą«. *Dr. R.*

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.